

BARBARA ZAKRZEWSKA
Wrocław

Od Obłaczkowa do Oporowa

Zwykle mam okazję snuć wspomnienia na temat osób niezwiązanych ze mną osobiście. Teraz mam pisać o mężu, z którym przeżyłam 64 lata, i nie jest to dla mnie łatwe.

Zacznę od tego, o czym poloniści nie wiedzą, znając tylko prace naukowe mego męża. Opowiem o jego życiu prywatnym, dzieciństwie, młodości i wieku dojrzałym.

Syn nauczyciela

Mój mąż spędził dzieciństwo we wsi Obłaczkowo — to jest we wsi położonej 4 km od historycznej Wrześni w Wielkopolsce.

Rodzina składała się z rodziców, trzech sióstr: Zofii, Felicji, Maryli, i syna Bogdana. Była też ukochana przez męża gospoia o nazwisku Bładowska (po latach mawiał: „No, to nazwisko byłoby dobre dla jakiejś komedii Fredry”). Poza tym przy rodzinie był parobek, który pracował na roli, opiekował się koniem i zajmował sadem.

Dom ten był niezwykle ciepły, miły, serdeczny, o czym przekonałam się sama, gdy weszłam do rodziny Zakrzewskich. Ojciec mojego męża, Kazimierz Zakrzewski, pracował jako nauczyciel, gdyż jeszcze podczas zaborów ukończył seminarium nauczycielskie. Wiadomo, że ówczesne seminaria przygotowywały do tego zawodu bardzo rzetelnie. Gdy powstała wolna Polska, musiał jednak uzupełnić ogólne wykształcenie wiedzą specjalistyczną. Tu muszę podkreślić jedną rzecz: zdumiewało mnie — jako że sama jestem Wielkopolanką z urodzenia — to, że władał on wspaniałą polszczyzną, po prostu nieskazitelną. Dlaczego? Wielkopolanie, nawet inteligenci, po długich zaborach mówili polszczyzną lekko skażoną, a mój teść ustrzegł się tego.

Wspomniany kurs przygotowawczy do nauczania w szkole polskiej, w którym brał udział, składał się z dwóch części: pierwsza dotyczyła kultury polskiej, druga zaś tylko i wyłącznie języka, gramatyki i stylu. W tej właśnie grupie mój

teść był podobno najlepszym słuchaczem. Po zdaniu przezeń dwóch wyrównujących egzaminów zaproponowano mu posadę kierownika szkoły we Wrześni. Teść nie zdecydował się na tę pracę i postanowił osiedlić się w Oblączkowie, gdzie również była szkoła, ale czteroklasowa. Dlaczego podjął tę decyzję? Dla dobra czworga swych dzieci. Chciał tak je wesprzeć materialnie, żeby wszystkie zdobyły wykształcenie. Mógł to swobodnie planować, ponieważ do każdej szkoły w Wielkopolsce, podobno także w innych rejonach Polski, była przypisana ziemia, na której oficjalnie gospodarował jej kierownik. Zatem mój teść — jako kierownik szkoły — dostawał pensję, a poza tym uprawiał rolę. Ponieważ już jego przodkowie byli bardzo związani z ziemią, praca ta odpowiadała mu bardzo. Mógł też mieć, duży sad — to dawało dodatkowe, materialne wspomaganie dla rodziny.

Teść był człowiekiem bardzo pracowitym i zdyscyplinowanym. Pracował jako nauczyciel, ale poza tym został urzędnikiem stanu cywilnego i udzielał ślubów w gmachu szkoły (w Wielkopolsce do 1939 roku jeszcze częściowo obowiązywał kodeks Napoleona, dlatego przed wyznaniem ślubu należało brać ślub cywilny). Co również bardzo ciekawe, ojciec Bogdana był tak zwanym sędzią pojednawczym, czyli godził gospodarzy, którzy pokłócili się o miedzę, o jakieś drobne szkody. Miał duże osiągnięcia w tej dziedzinie. Dopiero gdy nie udało mu się pojednać gospodarzy, sprawa trafiała wyżej, do sądu we Wrześni, który dzięki takiej organizacji nie zajmował się drobiazgami. Poza tym, z własnej nieprzymuszonej woli, teść mój zajmował się społecznie, przez cały prawie czas aż do wybuchu II wojny światowej, prowadzeniem kursów poprawnego mówienia po polsku. Prowadził też kursy o kulturze polskiej. O co dokładnie chodziło? Wielu starszych mieszkańców Wielkopolski, urodzonych jeszcze w czasie zaborów, czuło się Polakami, ale ich mowa była bardzo skażona germanizmami. Ojciec mego męża prowadził dla nich kursy dwa razy w tygodniu, zwłaszcza w okresie zimowym i jesiennym.

Jeśli chodzi o wychowanie własnych dzieci, ojciec uzupełniał je bardzo ciekawie. Grał dobrze na skrzypcach i akompaniował często dzieciom. Nauczył je wszystkie pięknych pieśni narodowych z czasów powstań. To może zaowocowało faktem, że mój mąż po latach zajął się hymnologią polską.

Mama z Filadelfii

Jak wspomniałam, mąż wzrastał w bardzo miłej i serdecznej atmosferze. Jego ojciec przeżył wielki szok, gdy zmarła pierwsza żona, matka biologiczna Bogdana. Maria Zakrzewska zgasła, gdy Bogdan miał 2 lata, na słynną gripę hiszpankę (wiadomo, że zmarło na nią wtedy więcej ludzi, niż zginęło żołnierzy na wojnie światowej). Zostawiła troje dzieci. Mój mąż swojej biologicznej matki w ogóle nie zapamiętał. Ale los uśmiechnął się do tej rodziny — ojciec ożenił się powtórnie, z Józefiną z Ratajewskich. Pochodziła z amerykańskiej Polonii, z bardzo patriotycznej rodziny osiedlonej w Filadelfii.

Historia Józefiny była, rzec można, romantyczna. Mianowicie druga matka mego męża, jako młoda panna, została przez swoich rodziców wysłana na naukę do Europy. Statkiem dopłynęła do jednego z portów niemieckich, tam przesiadła się na pociąg i przyjechała dokąd? — do Wrocławia! Dokładniej, do sióstr urszulanek, które wtedy, pod koniec XIX wieku prowadziły kursy języków obcych. Te kursy przygotowywały młode osoby do pracy nauczycielskiej w bardzo zamożnych domach należących do finansjery, urzędników rządowych albo arystokracji.

Mama zobaczyła sporo świata. Jako dziecko była chowana w kulturze amerykańskiej, miała w sobie niezwykłą otwartość w stosunku do ludzi, serdeczność i łatwość w nawiązywaniu kontaktów. Nauczyła swoje dzieci szanowania innych religii, innych wyznań, postaw życiowych, przekonań.

Po zakończeniu kształcenia u wrocławskich sióstr urszulanek Józefina Ratajewska dostała posadę w Budapeszcie, u premiera Węgier. Był to ostatni premier tego kraju przed I wojną światową, arystokrata. On właśnie potrzebował osoby, która by uczyła jego córki i syna języków obcych. Matka, jako obywatelka Ameryki, pierwszorzędnie знаła język angielski, natomiast u sióstr nauczyła się niemieckiego i obu tych języków uczyła dwie dziewczynki oraz chłopca (potem, niestety, chłopiec ów zginął w pierwszych dniach I wojny światowej). Stosunek tych państwa do matki był niezwykle serdeczny. Córki przywiązały się do niej — zresztą, nie dziwię się, bo do tak kochanej osoby można było przywiązać się całym sercem. Korespondencja z tymi dziewczynkami, potem już dorosłymi kobietami, trwała nieprzerwanie aż do wybuchu II wojny światowej. Jedna z nich została żoną profesora Uniwersytetu Wiedeńskiego, a druga wyszła za profesora w Budapeszcie. Po wojnie matka starała się dowiedzieć, co stało się z tą rodziną, ale wszystkie odpowiedzi z Czerwonego Krzyża brzmiały: „los nieznan”. Później również ja, gdy wyjeżdżałam do Anglii, Francji i Włoch, starałam się dowiedzieć czegoś o nich — ale odpowiedź zawsze była ta sama.

O tej zacnej kobiecie zawsze piszę (i mówię) „mama”, „matka mego męża” — bo nigdy nie mówiliśmy o niej „macocha” ani „teściowa”. Dlaczego? Bo to była osoba o tak dobrym sercu, że mogła nim obdarzyć nie tylko najbliższą rodzinę, ale wszystkie osoby z nią związane. Ja sama tej dobroci serca doznałam bardzo dużo. Doznał jej przede wszystkim mój teść, gdy się ożenił. Józefina z Ratajewskich podjęła się wychowania trójki nieswoich dzieci. Robiła to bardzo umiejętnie, z wyczuciem pedagogicznym, a przede wszystkim z rozsądną miłością. Choć z jej małżeństwa z Kazimierzem urodziła się jeszcze córka Maryla, nie czyniła między dziećmi żadnych różnic. Mój mąż wspominał matkę jak najserdeczniej i kiedy zabrakło jej w latach 70. XX wieku, całą naszą rodzinę okryła wielka żałoba.

Rodzeństwo

Matka zawsze bardzo interesowała się „Bodziem”, jak go nazywała. Ja również, opisując jego dziecinne lata, będę posługiwała się tym zdrobnieniem.

Kiedy przed ślubem z Bogdanem, w 1947 roku zapytałam naszej kochanej mamy, jaki był Bodzio w dzieciństwie, odpowiedziała: „Dziecko kochane, to był taki grzeczny chłopiec...”. I wspomniała o rzeczy charakterystycznej: on nigdy się nie nudził. Gdy miał cztery lata, płynnie czytał (pisać potrafił dopiero jako sześciolatek). Dużo rysował kredkami, od czwartego roku życia często malował farbami wodnymi. Gdy miał szesnaście lat, malował już farbą olejną i ukochanej siostrze Zofii z okazji jej ślubu podarował obraz, który przedstawiał fragment z *Quo Vadis* Sienkiewicza. I tu podam kolejną ciekawostkę: mianowicie Zosia także została polonistką i uczyła w szkołach we Wrześni (miała też wielkie upodobania teatralne). Narzeczony Zosi był Wielkopolaninem, który ukończył matematykę na Uniwersytecie Warszawskim. Z jego osobą związana jest zabawna historia rodzinna.

Pewnego dnia, a było to już po zaręczynach z Zosią, Marian przyjechał do przyszłych teściów, by omówić sprawę ślubu. Gdy wszystko już załatwił, młoda para usiadła sobie w ogrodzie, na ławce (jeszcze pamiętam tę ławkę!). Siedzą tak razem, aż tu nagle zza krzewów dochodzi ich chór czterech młodzieńców w wieku szesnastu lat. Matka, która akurat jest w domu, rozpoznaje, że to się popisuje Bodzio. Kwartet pod jego dowództwem śpiewa właśnie następujący szlagier: „Choć łysych nienawidzę i z łysych zawsze szydę, to Pan Bóg męża takiego mi dał”. Dla kogóż przygotowali ów popis? Dla przyszłego szwagra, który choć młody, był kompletnie łysy.

Matka była zgorszona: „Jak to możliwe, by dobrze wychowany chłopiec zrobił coś takiego?”. Zawołała Bogdana do siebie. Miała specyficzny sposób karania, nie reagowała ostro, więc i teraz zwróciła się do syna delikatnie: „Bodziu, coś ty mi zrobił? Jak ty tę siostrę strasznie potraktowałeś, jak bardzo musi być jej przykro”. „Mamo — zaszkliły mu się oczy — ale my tracimy Zosię i jej już tu nigdy nie będzie, ona sobie stąd pójdzie” — Bogdanowi wyraźnie zbierało się na płacz. Gdy mama to zauważyła, przebaczyła mu wszystko. On zaś pytał, jak ma się teraz zachować wobec siostry, i matka odpowiedziała — „No, teraz już nic nie zrobisz; pójdiesz do niej, przeprosisz i powiesz dlaczego, bo tylko prawda cię uratuje. Powiesz, że po prostu było ci tak żal, że Zosia cię opuści, że tak jej zaśpiewałeś”.

Występ przed prezydentem oraz generałem

Mój mąż po skończeniu czterech klas szkoły w Oblączkowie zaczął chodzić do gimnazjum neoklasycznego we Wrześni. Tuż przed samym wstąpieniem do tej szkoły, gdy miał dziesięć lat, spotkało go wyróżnienie.

Było to w 1926 roku. Nowo wybrany prezydent Ignacy Mościcki jechał akurat w odwiedziny, z całą grupą towarzyszących mu osób, do Wrześni, żeby wziąć udział w poświęceniu sztandaru pułkowego (wpisywało się to w jego plan odwiedzin zachodnich dzielnic Polski). Przy szosie, która biegnie z Warszawy do

Wrześni, ustawiła się młodzież gimnazjalna oraz dzieci z Oblączkowa. Mój mąż, wyznaczony przez nauczycieli, wystąpił na szosę, a gdy prezydent wysiadł z samochodu, zadeklamował w jego obecności wiersz. Mościcki serdecznie go objął i pogłaskał po głowie. Matka była z Bodzia bardzo zadowolona.

Zanim rozpoczął się nowy rok w gimnazjum, przydarzyła się Bogdanowi jeszcze inna, podobna historia. Zachorował i troskliwa mama zawiozła go do szpitala Przemienienia Pańskiego w Poznaniu, gdzie pracowały siostry szarytki. Siostra przełożona zauważyła tam, że Bodzio trochę bawi się z chłopcami w swojej sali, ale resztę dnia spędza, siedząc z książką w kącie. Któregoś dnia zagadnęła go: „Słuchaj, chłopcze, czy byś nie zadeklamował jakiegoś wiersza panu generałowi? Mamy tu w szpitalu takiego generała, który obchodzi za jakiś tydzień imieniny, a ma na imię Kazimierz. Chciałabym, żebyś mu powiedział wiersz”. A Bodzio odpowiedział tak: „Ja znam jeden wiersz, bo mój tato jest Kazimierz i przyjedzie mnie z mamą odwiedzić, i wobec tego ja mogę ten wiersz powiedzieć wobec generała”. — „Nie, dziecko, dla generała to musimy inną treść wybrać” — odpowiedziała siostra. I co się okazuje — tym generałem był Kazimierz Sosnkowski, bliski współpracownik marszałka Piłsudskiego (potem ich drogi się rozeszły). Jak wiadomo, po zamachu majowym Sosnkowski targnął się na swoje życie. Po nieudanej próbie samobójczej leczył się w Poznaniu, właśnie pod opieką tych sióstr.

Gdy nadszedł czwarty marca, imieniny Kazimierza, siostra kupiła duży bukiet biało-czerwonych róż i razem z Bodziem poszli do pokoju generała. Mąż zadeklamował wiersz, Sosnkowski podziękował i odebrał kwiaty. Bogdan dobrze ten moment zapamiętał i jeszcze jako starszy człowiek mówił do mnie: „Wiesz, on musiał być już bardzo chory, bo żadnej rozmowy nie nawiązywał, tylko poczęstował mnie jakimiś dobrymi cukierkami i pożegnaliśmy się”.

„Panie profesorze, co znaczy »macador«?”

We wrześniu mąż rozpoczął naukę w gimnazjum. Bardzo lubił chodzić do Wrześni pieszo, on był piechurem z zamiłowania. Chodził tak latem, wiosną oraz wczesną jesienią, pokonując niecałe cztery kilometry w jedną stronę. Raz w tygodniu odwoziła go mama, która jechała bryczką po zakupy, a dwa razy w tygodniu odbywał bardzo ciekawą podróż wozem.

Właścicielem wozu był Żyd Srul. Jak wiadomo, w Poznańskim mieszkają bardzo mało Żydów, znikoma liczba, i męża jego osoba bardzo zainteresowała. Srul miał w zwyczaju dwa razy w tygodniu jeździć na targ do Wrześni i pewnego razu spotkał na drodze Bodzia, który maszerował z teczką w dłoni. Ponieważ dawniej do uczniów gimnazjum nie mówiono „ty”, lecz zwracano się „kawalerze”, Żyd Srul zapytał: „A kawaler dokąd idzie?”. Kawaler odpowiedział, że idzie do szkoły, na lekcje. — „To umówmy się, kawalerze, tak: we wtorki i piątki jadę na rynek i będę cię podwoził. Tylko stań tam, pod drzewem koło szosy, w umó-

wionym miejscu, a ja będę cię zabierał”. Żyd Sruł był handlarzem, który skupował różne skórki po zabitych zwierzętach, puch kaczy na pierzynę i wszystko to woził na rynek, a tam zostawiał towar u jednego z kupców, który handlował nim dalej.

Mój mąż miał zawsze przy sobie kartkę od mamy z poleceniem kupna pieczywa. Na wrześnieńskim rynku był pewien stragan, także prowadzony przez Żyda, gdzie można było dostać podobno znakomite pieczywo drożdżowe, macę, placki, różne babki i rogaliki. Gdy Bodzio wracał ze szkoły, zaglądał tam na moment i robił zakupy. Jako przyszłego polonistę zainteresował go napis umieszczony na tym straganie. Czarną, mocną farbą wykaligrafowano na białym tle: „Macane należy do macadora”. Mąż pomyślał: „No tak, zrozumieć zrozumiałem; w jidysz to nie jest, po hebrajsku nie jest, po polsku jakoś też kulawo, ale dziwne, że rozumiem. To znaczy, że nie wolno mi chleba dotykać, bo jak dotknę, to chyba muszę go kupić”.

Następnego dnia jako pierwsza odbywała się akurat lekcja polskiego, a polonistą był dyrektor gimnazjum nazwiskiem Panna. W czasie lekcji Bodzio wstał i powiedział: „Panie dyrektorze, u Żyda widziałem napis: »Macane należy do macadora«. Ciekawi mnie, bo to ani po polsku, ani po żydowsku, ani po hebrajsku... Po jakimu to jest — może by mi pan wyjaśnił?”. Doktor Panna był trochę zakłopotany: „No, to nie jest żaden znany mi język... Ale wiesz co, tak krótko mówiąc, słowo jest dźwiękowo podobne do...” — bezskutecznie próbował wyjaśnić zagadkę.

Sentyment do Lwowa

Gimnazjum neoklasyczne było bardzo ciekawe. Mianowicie połowę grona pedagogicznego stanowili lwowianie (sympatia do nich trwała u męża przez całe życie, a po II wojnie światowej mogła skryształizować się na wrocławskim Oporowie), zresztą sam dyrektor Panna skończył lwowski uniwersytet. Nie był to przypadek, ponieważ Wielkopolska długo cierpiała pod surową okupacją pruską i brakowało w niej lokalnej kadry nauczycielskiej. Ci spośród przyjezdnych pedagogów, którzy nie zdołali ze względu na młody wiek skończyć na przykład III, IV roku w rodzinnych stronach, zdobywali potem tytuł magistra na Uniwersytecie Poznańskim.

Oprócz doktora Panny wart wspomnienia jest też bardzo dobry łacinnik, który nazywał się Wąs. Chłopcy podrzinali sobie z tego. Gdy na korytarzach było zbyt gwaro między lekcjami, ostrzegali się wzajemnie: „Uwaga — idzie Panna z Wąsem!” — i wtedy następowała zupełna cisza.

Lwowianie i Wielkopolanie byli bardzo wymagającymi nauczycielami, dbali o wysoki poziom nauki i ogólny rozwój uczniów. Mój mąż redagował gazetkę szkolną, malował plakaty, które anonowały przeważnie jakieś święta narodowe albo przedstawienia szkolne (w których grał). Brał czynny udział w życiu gimnazjalnym poza lekcjami.

Wrześnińskie gimnazjum miało wspaniałą, jak na wiek wykonawców, orkiestrę szkolną. Dlaczego tak się udało? Szkoła gromadziła wielu uczniów uzdolnionych muzycznie. We Wrześni stacjonowało wojsko, więc młodzi muzycy mieli nad sobą kapelmistrza po wyższych studiach muzycznych, bardzo zdolnego, który zajął się ich orkiestrą społecznie.

Co niedzielę w miejscowym kościele farnym, bardzo zresztą pięknym, odprawiano gimnazjalną mszę świętą. Mąż opowiadał mi, że wyglądało to tak: msza rozpoczynała się o godzinie 9.00, a uczniowie szli do kościoła pochodem, na którego czele była orkiestra pod dyрекcją kapelmistrza wojskowego. Za nią maszerowało osiem klas gimnazjalnych, ustawionych porządnie w czwórki. Kazania dla gimnazjalistów głosił zawsze katecheta ks. Jernajczyk, chyba że akurat wypadały rekolekcje — wtedy zapraszał innych księży. Rodzice męża uczęszczali na mszę o 10.00, przyjeżdżali bryczką z całym domem. Po nabożeństwie dołączał do nich mój mąż i już razem wracali do domu w Oblaczkowie na niedzielny obiad.

Nivea w bibliografii naukowca

Wielki wpływ na Bogdana miała gospośia Bładowska. Pochodziła z sąsiedniej wsi, z gospodarstwa tak małego, że musiała dorabiać jako służąca. Mieszkała więc u Zakrzewskich. Miała chyba wyobraźnię literacką, bo dużo śpiewała Bodziowi. Śpiewała mu różne ludowe piosenki z kręgu podwrześnińskiego i opowiadała bajki. Mąż bardzo ją lubił. Ale kiedyś i ona popełniła niezamierzony nietakt.

Mój teść, który był bardzo wrażliwy, jeśli chodzi o sprawy etyki, usłyszał, jak gospośia śpiewa jego synkowi dwunastozwrotkową balladę zaczynającą się od słów: „Jedzie, jedzie wikary, jeszcze wcale nie stary”. Dalsze wersy bardzo się mojemu teściowi nie spodobały. Przywołał ją do siebie i delikatnie powiedział: „Gospośiu kochana, ja bym prosił, żeby mojemu Bodziowi tej piosenki nie śpiewać, bo ona się nie nadaje dla chłopca”. Wiadomo, że w twórczości ludowej bywa też dużo motywów sprośnych, które wśród ludzi wykształconych nie są akceptowane, a tam, na wsi przyjmowane są naturalnie. Gospośia dostosowała się do polecenia, ale za te opowiadania, bajki i ludowe piosenki, których nie miała okazji zaśpiewać, chciała mieć jakąś rekompensatę. I zwróciła się do Bodzia tak: „Ty, chłopcze kochany, uczysz się kaligrafii. Masz tak piękne pismo, że jak piszesz, to jakby koraliki rozrucił na papierze”. Bogdan był bardzo ujęty tym porównaniem, ale o co chodziło? Otóż gospośia chciała, żeby on pisał dla niej listy do Gdańska, do fabryki Nivea. Zapytał dlaczego — „Żeby mi stamtąd przysyłali krem Nivea i puder”. Na to Bodzio: „Ale gospośiu, przecież one są w każdym sklepie, w każdej drogerii”. Ale gospośia się uparła i powiedziała, że ona chce mieć kosmetyki prosto z fabryki, bo są świeże i niezepsute przez transport. I tak się stało. Bodzio pisał te listy do fabryki, aż do skończenia studiów. A do mnie powiedział potem:

„Wiesz co, to powinno wejść do mojej bibliografii — listy do Nivei i podania o krem i puder”. Powód do dumy na pewno miała sama gospoia, bo na jej adres przychodziły paczki z fabryki, które przynosił listonosz. A że listonosz na wsi to była bardzo ważna figura, rozchodziło się po całej wsi, że gospoia Zakrzewskich, Bładowska, dostała dzisiaj paczkę. No, to była satysfakcja absolutna.

Parobek także zaskarbił sobie serce męża. Jak się rzekło, opiekował się końmi i mąż często chodził z nim do kuźni. Pilnie obserwował pracę kowala, te wizyty były zawsze bardzo ciekawe.

Na polonistyce w Poznaniu

Zbliżał się koniec gimnazjum. Mąż z przedmiotów humanistycznych miał oceny dobre. Gorzej było z fizyką, matematyką — opanował je nieźle, ale naprawdę dzięki ciężkiej pracy i z pewnością nie uczył się ich *con amore*. A teraz trzeba było wybrać zawód. Mąż uparł się, by pójść na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Matka, kierowana rozsądną miłością, powiedziała: „Synu, van Goghem nie będziesz, nie ma co — trzeba prawdzie w oczy spojrzeć. Nie masz aż takiego talentu, żebyś odnalazł się w tej pracy. Wybierz sobie taki zawód, w którym będziesz szczęśliwy, który ci da zadowolenie”. Oczywiście padło na polonistykę.

Bogdan zdał maturę, mając niecałe 17 lat, i zapisał się na studia. Uczył się, należał do koła polonistów, redagował gazetkę studencką, malował plakaty. Pisał dużo wierszy, które były nawet umieszczane w poznańskich gazetach. Należał do tej samej grupy poetyckiej, do której należał też znany później we Wrocławiu okulista, z urodzenia poznanian, profesor Witold Kapuściński. Poza tym brał udział w przedstawieniach szkolnych. I kiedyś — ku wielkiemu zadowoleniu Bogdana — jego siostra Zosia, której swego czasu tak brzydko zaśpiewał „o łysych”, wystawiła ze swoimi uczniami ze starszych klas *Odprawę posłów greckich*. Mąż namalował dla nich sporo plakatów, zapraszających na to przedstawienie nie tylko uczniów, ale też mieszkańców Wrześni, natomiast szwagier męża wykonał dekoracje. Miejscowa gazeta donosiła, że przedstawienie było — jak na uczniowski występ — bardzo ładne i dobre.

Pewnego razu profesor Roman Pollak zaproponował Bogdanowi, żeby pojechał do Warszawy i zaprosił na gościnny wykład w kole polonistów panią Zofię Nałkowską, by opowiedziała studentom polonistyki o swoim warsztacie pisarskim. Mąż miło wspominał wizytę, mówił, że Zofia Nałkowska była bardzo serdeczna, pytała, jak przebiegają studia, czego młodzież się uczy. Szczególnie interesowały ją lektury z literatury polskiej. Obiecała, że przyjedzie — i słowa dotrzymała. Na jej odczyty było sporo studentów polonistyki, a także słuchaczy z zewnątrz.

Niedługo potem profesor Pollak przedstawił mężowi inną propozycję. Mianowicie w Warszawie obroniło się właśnie dwóch bardzo zdolnych doktorów

polonistyki — Stefan Żółkiewski i Jan Kott. Profesor Pollak był zawsze bardzo ciekawy młodych talentów i zapraszał również doktorów, żeby zdobywali pierwsze ostrogi na wykładach i w dyskusjach. Poleciał mężowi, żeby pojechał do Warszawy i osobiście zaprosił tych dwóch panów.

Wkrótce obaj przyjechali na zebranie do Poznania. Ich wykład miał się odbyć w salach polonistyki, która mieściła się wtedy w zamku przy ul. Święty Marcin. Sala zgromadziła ogromną liczbę słuchaczy. Jak wiadomo, Żółkiewski i Kott byli Polakami żydowskiego pochodzenia. Gdy wszyscy już zasiedli i miał się zacząć wykład, nagle na salę weszła bojówka pod dowództwem studenta III roku prawa, który nazywał się Patalong. Długimi kijami pobili wszystkie żarówki w kandelabrach, w jakiś sposób też pewnie wyłączyli światło, bo zrobiło się zupełnie ciemno. Zapanowało wielkie zdenerwowanie i popłoch, a oni zaczęli krzyczeć: „Bijcie Żydów, bijcie Żydów!”. Wtedy mój mąż, znając doskonale topografię sali, dopadł do Stefana Żółkiewskiego i Jana Kotta, chwycił ich za ręce i blaszanymi, kręconymi schodami w wieży zamkowej zeszli szybko na dół, na ulicę. Tam wsadził ich do taksówki i polecił: „Niech panowie odjeżdżają natychmiast do Warszawy”.

Niestety, sytuacja skończyła się niemiło również dla męża, bo po trzech dniach we wszystkich akademikach i w Bratniaku (było to stowarzyszenie wspomagające studentów, dzięki któremu zlecano im prace dodatkowe, korepetycje) ukazały się plakaty o treści: „Bogdana Zakrzewskiego, studenta III roku polonistyki, wyrzuca się z Bratniaka, ponieważ przejawiał postawę niegodną studenta Polaka”. Ale kilka dni później poprosił Bogdana na rozmowę profesor Pollak. Serdecznie go uściskał i powiedział: „Bardzo się cieszę, że pan przejawiał taką postawę, jaką powinien prawdziwy Polak przejawić”.

Wojna i pobyt u krewnych Józefa Brandta

Po skończeniu studiów w 1937 roku mąż przyjechał do Oblaczkowa na wakacje, ale ze świadomością, że wkrótce musi zająć się jakąś pracą zawodową. Profesor Pollak chciał go zatrudnić jako swojego asystenta, ale akurat nie było wolnego etatu, więc Bogdan dostał posadę sprzedawcy w dziale sprzedaży księgarni św. Wojciecha. Z czasem etat asystenta na polonistycę się znalazł i Bogdan miał stawić się do pracy — co za tragiczna data! — 1 września '39 roku. Tego dnia wszystkie nadzieje i starszych, i młodych Polaków spełzły na niczym.

Szkoły zamknięte, uniwersytety zamknięte. Mąż znowu wrócił do Oblaczkowa, ale najbliższa rodzina i przyjaciele doradzili mu, żeby absolutnie opuścić Wielkopolskę, bo tu zaczynają się dziać złe rzeczy: Niemcy wywożą Polaków do Generalnej Guberni albo na prace przymusowe do Niemiec. Nie ma sensu ryzykować.

Niespodziewanie Bogdan dostał przez kogoś wiadomość, że pani Opielińska, właścicielka majątku Białeżyce, który był położony blisko Oblączkowa, została wyrzucona do Generalnej Guberni. Opielińska była wdową z czwórką dzieci — dwoma synami i dwiema córkami, z którymi mąż był zaprzyjaźniony, przed wojną często odwiedzał tę rodzinę. Teraz zdecydował się tam udać.

Były to Konary w Radomskim, majątek Andrzeja Helbicha. Jedna z córek pani Opielińskiej, Danuta, wyszła potem za niego za mąż. Po pewnym czasie przyjechała do Konar jej siostra, Krystyna Seydowa (a raczej *primo voto* Seydowa), młoda bardzo wdowa, której mąż zginął w walkach partyzanckich. Została jej po nim kilkumiesięczna córeczka Basia.

Tu warto poznać ciekawostkę: pani Seydowa była synową znanego przed wojną działacza prawicowego, Mariana Seydy. Seyda w odzyskanej Polsce był krótko ministrem spraw zagranicznych, ale nie to przyniosło mu chwałę. Otóż brał bardzo czynny udział w ustalaniu traktatu wersalskiego, szczególnie gdy chodzi o zatwierdzenie naszych granic zachodnich. Jako Wielkopoleśnianin podobno doskonale znał realia i, jak mówią współcześni, o każdy kilometr naszej granicy walczył jak lew. Niestety, nie wszystko tak się udało, jak chciał, bo niektóre wsie polskie zostały po stronie niemieckiej. Potem wycofał się z czynnej działalności politycznej i przed samą wojną został redaktorem „Kuriera Poznańskiego”. Był bardzo związany z Romanem Dmowskim, ale ponieważ z czasem poglądy Dmowskiego zradykalizowały się, ich drogi się rozeszły.

I ta właśnie mała Basia była w prostej linii wnuczką Mariana Seydy, a córką jego jedynego syna.

W Konarach mieszkała też daleka krewna Andrzeja Helbicha, pani Daszewska. Kim była pani Daszewska? Była to córka Józefa Brandta, znanego malarza, która odziedziczyła po ojcu znaczny zbiór pamiątek, przede wszystkim bardzo cennej korespondencji z okresu monachijskiego, między innymi z bratem Albertem Chmielewskim. Mój mąż zwrócił się do niej tak: „No, nie wiadomo, jak długo ta wojna będzie trwała. Ja bym już zaczął zbierać bibliografię do pracy doktorskiej. Widzę, że pani ma takie cenne materiały. Może ja bym się nimi zajął?”. I zaczął nad nimi wieczorami pracować. Robił notatki z listów, różnych przekazów biograficznych dotyczących malarza. Wstępnie zaplanował nawet tytuł pracy doktorskiej: *Wpływ malarstwa Józefa Brandta na wyobraźnię literacką Henryka Sienkiewicza*. Co ciekawe, po wojnie ten pomysł został przez profesora Pollaka zaakceptowany. Cały materiał do pracy Bogdan zebrał w czasie okupacji, a potem zajmował się już tylko pisaniami i redagowaniem. Obronił się w czerwcu 1947 roku.

W Zameczku hrabiów Lubienieckich

W Konarach mąż znalazł kulturalne towarzystwo, ale czuł się trochę nieswojo, bo doskwierała mu świadomość, że nie zarabia na życie. W końcu zwrócił się

do Andrzeja Helbicha z pytaniem, czy by nie znalazł dla niego jakiegoś zajęcia. Helbich odpowiedział z namysłem: „No, cóż mogę ci ofiarować? Mam znajomych Wielkopolan, oni handlują...”. I tak mąż zaczął handlować: pończochami damskimi i landrynkami. Potem jako instruktor rolny uczył kobiety dojenia krów i zajmował się oceną wieku koni. Ale te zajęcia bardzo mu nie odpowiadały, bo nie zaspokajały jego ambicji. Wreszcie zwrócił się do pani Daszewskiej, z którą był w bardzo dobrych stosunkach, czy jako wieloletnia mieszkanka tych okolic nie znalazłaby dla niego jakiegoś domu, gdzie mógłby uczyć dzieci. Okazało się, że znajomy pani Daszewskiej hrabia Lubieniecki, który miał majątek Zameczek, poszukiwał właśnie nauczyciela dla swoich dzieci w wieku szkolnym. Mąż zgodził się i pojechał do Zameczka, do ładnego dworu podobnego do warszawskiego Belwederu.

Znalazł tam miłą rodzinę. Pan domu był bardzo wykształcony. Studiował w uniwersytetach zagranicznych, skończył prawo, zajmował się też rolnictwem. Pani domu pochodziła z wielkopolskiej finansjery. Bogdan miał uczyć ich dwóch synów i jedną dziewczynkę. Te dzieci były bardzo zdolne, więc rodzice zaproponowali, żeby program szkoły powszechnej przerabiali w szybszym tempie. Mąż uczył ich nie tylko wszystkich przedmiotów teoretycznych, ale również gimnastyki. Zimą odbywała się ona na szerokich korytarzach dworu, latem w parku Bogdan organizował biegi, różne gry sportowe, a w pobliskim stawie lekcje pływania. Po wojnie jego uczennica dostała pierwszą nagrodę w pływaniu jako juniorka. Ta medalistka udzieliła wywiadu „Gazecie Robotniczej” i w rozmowie z dziennikarzem wyznała: „Moim pierwszym trenerem, niech się pan nie dziwi — był profesor literatury — on wykladał na tutejszym uniwersytecie. To on pierwszy uczył mnie pływania na stawie w Zameczku”. I pokazała dziennikarzowi portrecik, który mój mąż zrobił dla niej ołówkiem. Była to podobizna jej główki, gdy panna Lubieniecka miała 9 lat. Wywiad zilustrowano właśnie tym portrecikiem. Mąż później żartował, że w jego biografii powinno się wspomnieć, iż był trenerem najlepszej pływaczki juniorów w Polsce.

Grabonóg Dernałowiczów

Wojna zaczęła powoli zbliżać się ku końcowi. Mąż wybrał się jeszcze do innych znajomych, do majątku pani Dernałowicz z domu Komornickiej. Mieszkała z mężem i trzema córkami w Grabonogu. Mąż gościł w ich dworze bardzo krótko, ale pobyt w nim okazał się bardzo ciekawy.

Pani domu była osobą niezwykle dobrą. Pan domu pochodził ze starej arystokracji włoskiej, Doriów, którzy w pewnym momencie przyjęli polskie nazwisko Dernałowicz. Ci, którzy byli w Rzymie, wiedzą, że jest tam ulica Vico Doria, przy której znajduje się stacja Polskiej Akademii Nauk. To była właśnie siedziba rodowa Doriów sprzed wielu wieków, zanim część rodziny wyemigrowała do Polski, gdzie po latach przybrała nazwisko Dernałowicz.

W czasie, gdy w Grabonogu przebywał mój mąż, w dworze mieszkała bliska krewna pani domu, znana poetka — Maria Komornicka. W okresie Młodej Polski wydała ona kilka tomików wierszy i była cenioną poetką. Po dwudziestym roku życia postanowiła, że będzie mężczyzną, ścięła włosy *à la garçon*, zaczęła ubierać się po męsku i przybrała nazwisko Piotr Odmieniec Włast. Separowała się od towarzystwa, nie chciała przychodzić na posiłki i nikogo nie wpuszczała do swego pokoju. Pani domu bardzo się tym martwiła, aż pewnego razu zwróciła do mego męża: „Może by pan jakoś temu zaradził?”. Mąż po namyśle zapytał: „A czy ona pali?” — „Pali, i to bardzo dużo”. Bogdan wtedy też palił. Postarał się zatem o jakieś bardzo dobre papierosy, chyba u Niemców, i z tymi papierosami w dłoni zapukał do drzwi Komornickiej *vel* Piotra Własta. Zapytała: „Kto mówi?” — „To ja, Bogdan Zakrzewski. Jestem polonistą, pisuję wiersze. Nie tak dobre, jak pani, ale piszę trochę. Może byśmy porozmawiali...? A poza tym mam bardzo dobre papierosy...”. Jak tylko usłyszała o tych papierosach, drzwi otworzyły się szeroko.

Rozmowa była bardzo długa, co niezmiernie zdziwiło właścicieli domu. Komornicka opowiadała Bogdanowi o swojej drodze życiowej, a nawet deklamowała wiersze. Pytała o jego pracę magisterską i na jej prośbę mąż zadeklował jakiś swój wiersz. Tak się rozstali.

Pani Dernałowicz zapytała Bogdana o wrażenia. Najbardziej interesowały ją porządki. „No, porządki są straszne, pełno kurzu. Na podłodze mnóstwo książek, a pajęczyny jak ozdoby papierowe na Nowy Rok” — wyznał. „Co robić? No jak to zrobić? No, nie można nikogo tam wpuścić, bo ona tego nie zaaprobuje!” — zastanawiała się gorączkowo Dernałowiczowa.

Niebawem nadszedł front, rozpoczęły się bardzo ostre walki, w czasie których dwór został zupełnie spalony. Właściciele Grabonogu znaleźli jakieś schronienie u sąsiadów, a mój mąż pod koniec lutego rozpoczął samotną podróż powrotną w stronę Wielkopolski.

Koniec wojny, powrót do domu

Podróż Bogdana trwała długo. Wędrując, posuwał się niemal tuż za frontem, bo kolejowe połączenia cywilne, w przeciwieństwie do transportów wojskowych, trafiały się sporadycznie.

Po dwóch i pół tygodnia zjawił się wreszcie w domu. Zastał swoich rodziców w bardzo przykłej sytuacji — Niemcy okradli ich z całego ważniejszego dobytku. Mojego teścia potraktowali w straszny sposób, po prostu dali mu do zrozumienia, że jest „tylko polskim nauczycielem”. Ciągłe mu to powtarzali i dali najgorszą pracę, jaką tylko można mieć. Mianowicie dawniej złorzeczyło się: „obyś kamienie tłukł”. Blisko swojej dawnej szkoły, przez całą okupację ojciec tłukł kamienie młotem na szosie, a Niemcy stale podkreślali: „to jest polski nauczyciel”. Ojciec nabawił się wtedy bardzo poważnej choroby, którą leczył długi czas, właściwie aż do śmierci.

Odbudowa polonistyki

Gdy Bogdan nacieszył się już domem, pojechał bezzwłocznie do Poznania. Został tam „swoją” polonistykę zupełnie zrujnowaną. Wszystkie pamiątki, prace magisterskie, doktorskie, różne dokumenty zostały zniszczone przez Niemców.

Tuż po wojnie poloniści dostali do dyspozycji budynek probostwa przy ul. Stolarskiej, obok którego był kościół św. Michała, doszczętnie zbombardowany. Mąż, ponieważ już miał etat asystenta przydzielony przed wojną, zajął się szybkim uruchamianiem studiów. Przygotował budynek: oszklilił okna, zdobył ławki i podstawowe regały.

W podziemiach kościoła św. Michała znajdował się ogromny zbiór książek, które Niemcy zwieźli tam z bibliotek dworów i pałaców polskich. Prawdopodobnie mieli zamiar wywieźć je potem do Niemiec. Polski uniwersytet ogłosił, że wszystkie książki opatrzone exlibrisami właścicieli mogą odebrać pod wskazanym adresem, i niektórzy rzeczywiście je odbierali. Te książki, które nie znalazły właścicieli, za zgodą ogólną zostały w większości włączone do biblioteki historycznej (było wśród nich sporo atlasów geograficznych), a częściowo do polonistycznej. Bogdan został upoważniony przez prof. Pollaka do przyjmowania książek przeznaczonych dla polonistów. Dokument-zaświadczenie zachował się w naszym archiwum rodzinnym do dziś.

Wyrzucenie z pracy

Kiedy lokal został jako tako urządzony, mąż dał znać prof. Pollakowi i profesor, który spędził koniec wojny w Częstochowie, już pod koniec marca przyjechał do Poznania. Razem z nim przybyli studenci Tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, który kształcił polską młodzież w czasie okupacji. Wśród studentów byłam i ja. Jako bibliotekarka tajnej polonistyki, przekazywałam odnowioną poznańską polonistykę nasz księgozbiór. Odebrał go z moich rąk nie kto inny, jak Bogdan Zakrzewski. Tak się poznaliśmy. Nasz ślub odbył się 2 lata później, w sierpniu 1947 roku, dwa miesiące po obronie pracy doktorskiej męża.

Mąż doktoryzował się, a potem objął stanowisko adiunkta. Prowadził wykłady, miał już normalną, dydaktyczną pracę na uniwersytecie. Ale w Poznaniu, do którego tak strasznie tęskniliśmy w czasach naszego wysiedlenia, nie było nam dane mieszkać długo. Byliśmy w nim tylko 8 lat.

W 1951 roku, w pewnych okolicznościach, Bogdan został wyrzucony z pracy na uniwersytecie. Mianowicie, poszedł do mieszkania znajomych, gdzie, jak się okazało, urządzono kocioł. Ku mojemu zaniepokojeniu był tam trzymany dwa tygodnie, a wypuszczony jako jeden z ostatnich. Sprawę komplikowało to, że nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Było lato, panował upał, a on tylko w krótkich spodenkach i koszulce z krótkim rękawem. W tym okresie trwania ko-

muny wyjście bez dokumentów na ulicę było surowo karane. W końcu mąż został zwolniony — ku naszej wielkiej radości. Mała córka, Ela, miała wtedy niecałe dziewięć miesięcy. Radość jednak nie trwała długo, bo po kilku dniach Bogdana zwolniono z uniwersytetu.

Przenosiny do Wrocławia

Bogdan został bez pracy. Ja sama byłam wtedy zatrudniona na umowę-zlecenie w Instytucie Badań Literackich, w dziale czasopiśmiennictwa wielkopolskiego, ale to nie zapewniało utrzymania rodzinie. Mąż, nauczony przez swoją matkę, zawsze potrafił znaleźć wyjście z trudnej sytuacji, więc i teraz jakaś koleżanka ze studiów, polonistka, zatrudniła go w dziale reklamy przy Targach Poznańskich, gdzie robił korektę reklam w języku polskim. Po pewnym czasie, może w roku 1952, przyjechał do nas do Poznania profesor Tadeusz Mikulski. (To teraz znany wrocławianin, jego imię nosi ulica, przy której kiedyś mieszkał). Wspominam tę wizytę z wielkim wzruszeniem. Profesor Mikulski zwrócił się do męża tymi słowy: „Znam już pana z dwóch prac, które pan umieścił u nas, w »Pamiętniku Literackim«. Zdecydowałam się przyjąć pana do pracy na Uniwersytecie Wrocławskim. Jest pan już po doktoracie, może pan objąć u nas stanowisko adiunkta”. Profesor Mikulski doskonale rozumiał sytuację męża. On sam w czasie wojny pracował w AK na bardzo odpowiedzialnych i niebezpiecznych stanowiskach, wobec tego po wojnie musiał zmienić środowisko i z Warszawy wyjechał na Dolny Śląsk, gdzie łatwiej było o anonimowość.

Mąż przyjął propozycję profesora i w 1953 roku przenieśliśmy się do Wrocławia. Tutaj Bogdan zaczął powoli zdobywać stopnie profesorskie, aż do profesora zwyczajnego, tak zwanego belwederskiego, włącznie.

Scheda po profesorze Mikulskim

Teraz oceniam, że 8 lat od zakończenia wojny życie we Wrocławiu było znacznie znośniejsze niż w Poznaniu, choć nie zawsze komfortowe. Za naszym oporowskim domem ciągnęły się pola, hen, aż do Kleciny, co nie było bezpieczne. Do miasta, po sprawunki jeździło się daleko. Mąż mój często po skończonych zajęciach szedł do hali targowej, robił zakupy, wsiadał do tramwaju i jechał na Oporów. Czekałam na niego na przystanku z dzieckiem w wózku. Do tego wózka, pod spód, pakowało się wszystkie wiktuały i wiozło do domu, a był to spory kawałek.

Gdy człowiek był młody, wszystko przychodziło mu łatwiej. Ale tęsknota za rodzinnymi stronami nie mijała, do tego stopnia, że przez pierwsze 5 lat abonowaliśmy codzienną „Gazetę Wielkopolską”. Chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje w Poznaniu.

Powoli, w miarę jak dzieci dorastały, zaczynały chodzić do szkoły, wtapialiśmy się w nowe środowisko. Przez znajomych dzieci poznawało się ich rodziców.

Życie toczyło się dalej. Niestety, profesor Mikulski — zresztą mieszkaniec naszego osiedla — zaczął poważnie chorować i zmarł w czterdziestym dziewiątym roku życia. Przedtem już, mając świadomość swego pogarszającego się stanu, wdrażał mojego męża w poszczególne obowiązki, które dotąd należały do niego samego. Mąż pracował najpierw w „Pamiętniku Literackim”, potem, po śmierci profesora, został redaktorem w „Pracach Literackich”. Był też często członkiem senatu, prodziekanem, przez pewien czas przewodniczącym rady naukowej Ossolineum. Poza tym zajmował się intensywnie pracą naukową. Przez długie lata, w niedziele o godzinie 11.00 miał w Polskim Radiu popularnonaukowe pogadanki o literaturze XIX wieku: krajowej i tej, która rozkwitała w Paryżu. Poza tym występował często w telewizji, w różnych audycjach.

Era dawnych profesorów

Muszę powiedzieć, że Bogdan nigdy nie zapomniał o obowiązkach rodzinnych. Był bardzo czułym ojcem i mężem, zawsze poświęcał czas dzieciom i śledził ich rozwój. W naszym domu był taki miły zwyczaj, że po całym dniu zbieraliśmy się u męża w gabinecie, dzieci siadały po turecku na podłodze i każdy opowiadał, co mu się przydarzyło w ciągu dnia. Mąż w przystępny sposób opowiadał dzieciom, o czym miał wykłady, a one opowiadały, co było w szkole. Jeszcze dzisiaj moje trzy córki bardzo miło wspominają te chwile.

Mąż potrafił wykonać w domu najprostsze naprawy. Był to, jak sądzę, wpływ jego mamy, która mówiła, że mężczyzna „to już chociaż, ale gwóźdź musi wbić porządnie w ścianę” (a swoje córki nauczyła prostych napraw w zakresie instalacji elektrycznej). Mojemu mężowi, gdy jeszcze był młody, radziła tak: „Pamiętaj, naucz się chociaż troszeczkę gotowania, bo jak ci żona zachoruje, nie możecie umrzeć z głodu”. Kiedyś akurat tak się zdarzyło, że wszystkie jednocześnie zachorowałyśmy na gripę. Wszystkie — bo nie dotyczyło to męża. Mąż kupił kurę na placu Nankiera, w domu obrał jarzyny, ugotował ryż, wszystko dobrze przyprawił, podzielił na porcje i rozniósł wszystkim do łóżek. Dał nam lekarstwa, prześcielił posłania. Gdy dopełnił obowiązków, powiedział: „Słuchajcie, teraz drzwi do mojego pokoju są otwarte, ja będę pracował. Ale jeśli komuś czegoś będzie potrzeba, to...” — podał nam dzwonek. Tym dzwonkiem dzwoniłyśmy, a on przychodził i pomagał.

Swój talent malarski Bogdan wykorzystywał na rzecz dzieci. Trwał PRL i w sklepach było mało zabawek. Kiedy nasza najstarsza córka Ela była chora, namalował dla niej — wtedy zupełnie nieosiągalne, więc dzieciom nieznane — południowe owoce. Pięknie je pokolorował, powstał w ten sposób ładny obraz martwej natury. Kiedyś znowu średnia Hania była ciężko chora na szkarlatynę.

Gdy już ozdrowiała, Bogdan chciał jej zrobić przyjemność i wykonał przepiękną zagrodę. Powycinał z kartonu dom, zabudowania i zwierzęta. Wszystko posklejał, pokolorował i podarował dzieciom, które bardzo chętnie się tym bawiły. Gdy był już starszy, zamówił u stolarza dwupiętrowy domek dla lalek. Sam założył elektryczność we wszystkich pokojach — składały się na nią małe żaróweczki (jakie wkręca się do elektrycznych latarek ręcznych). W domku była łazienka, był salon, pokoje i oczywiście same lalki. Nasze córki bardzo długo bawiły się tym domkiem.

Mąż bardzo lubił dzieci i młodzież. Ze studentami utrzymywał bliskie i przyjazne kontakty. Pamiętam nasze dialogi w domu. Mówił: „Bardzo się spieszę”. — „Dlaczego?” — „Bo umówiłem się ze studentem II roku. I strasznie nie lubię tego, jak studenci czekają na wielkich profesorów (przymiotnik „wielki” wymawiał z ironią), a przecież to są nasi studenci, trzeba ich szanować”. Niestety, wraz z odejściem pierwszego pokolenia oporowskich naukowców skończyła się era dawnych profesorów.

From Oblączkowo to Oporów

Summary

Bogdan Zakrzewski was a son of Kazimierz and Maria née Szafran. He grew up in the village of Oblączkowo, near Września, Wielkopolska Province. When he was two years old, his mother died and his father married Józefina Ratajewska. She shaped the characters of all four children as Poles who deeply respected other nations, religions and views. The father, a teacher in the local school and a registrar, took care of their patriotic education.

Bogdan was interested in literature and art. From his earliest childhood he painted, drew and recited poems. At the age of 17 he graduated from a neo-classical grammar school in Września and began to study Polish language and literature at the University of Poznań. There he became known as an active member of the Polish Studies Club and co-organiser of meetings of students with outstanding personalities from the literary world. As of 1 September 1939 he was to have become an assistant lecturer — having been appointed by his supervisor, Prof. Roman Pollak — but the outbreak of the war intervened.

Bogdan Zakrzewski spent the 1939–1945 period away from his home, in three estates: Konary, which belonged to Józef Brandt's relatives, Zameczek and Grabonóg. During his stay in Konary, he gathered material for his future doctoral dissertation: *The influence of Józef Brandt's painting on Henryk Sienkiewicz's artistic imagination*.

In March 1945 he returned to Poznań and, requested by Prof. Roman Pollak, prepared facilities for the revived department of Polish studies and reconstructed its library. Two years later Zakrzewski was awarded a doctoral degree, but in 1951 he was unexpectedly dismissed from his post at the University. Together with his wife, Barbara née Surzyńska, he moved to Wrocław. He began working at the local university, where he soon took over as the head of the department of Polish studies after Prof. Tadeusz Mikulski's death. For many years he was the director of the Institute of Polish Philology, editor-in-chief of *Pamiętnik Literacki* and member of the Ossolineum Council. His workload was intense: he wrote and published, presented popular radio programmes and took part in television programmes.

Bogdan Zakrzewski belonged to the first post-war generation of Polish scholars in Wrocław. The passing of that generation marked the end of an important era.